

# TAK CHCĘ TAK

Antonina Grzegorzewska

---

## ZAPNIJ SIĘ, ZE SKRÓTAMI

MONODRAM

Zapnij się, masz goły brzuch, wszystko ci wystaje, okropnie niechlujnie, wszystko na wierzchu, bebechy na wierzchu, wieje, kawałek majtek na wierzchu, metka od majtek na wierzchu, duszno, zimno, parno, hałas, grają, co tak grają od rana, od siódmej nie śpię, od siódmej festyn, rzempolą, ta kobieta gra, bardzo proszę panią o przejście gdzieś dalej, tu są małe dzieci, tu się mówi o aptece, idź i jej powiedz, że jest późno i że ludzie chcą spać, z tobą zawsze to samo, nim się wygrzebiesz wszystko ucichnie, wszystko zmieni się w przypróśzenie, hałas się skawali, ale co z tego, kiedy nikt nie odda nam tych kilku godzin ciszy...

Co to jest, czy to są ubrania czy może obrusy na zavalone stoły, pięknie, ostatnie miejsce w tym domu zawało się od twoich gratów, na czym teraz położę moje żyjątko, one nie odpłacają mi niewdzięcznością, nie bimbają sobie wiecznie. Jestem zaabsorbowana szukaniem, jestem wiecznie zaabsorbowana szukaniem, nawet w święta szukam migdałów w cieście, a jak znajdę – o ile oczywiście ty nie rzucisz się pierwsza ze swoim bulimicznym paroksyzmem – to zalewają mnie sentymenty, nieznośna melancholia za tropikami i jednym takim, co zrywał migdały tylko i wyłącznie dla mnie, wyłuskiwał je nożem do otwierania ostryg i szorował mchem, zanim mi je podał, spijaliśmy sobie z dziubków mleko kokosowe. Nie pyskuj, ja ci dobrze radzę, bo będzie źle, bo będą nici z wyjazdów i spacerów, byłaś taka nieznośna, że się zawinął. Gdzie on jest, szukam go, podlewam wodą mój wodór, myśląc o jego tlenie, gdzie się podział, mój wodór z jego tlenem byłyby cudownym źródłem, byłyby wodą, którą się chrzci, wodą, która tryska na pustyniach. Twoje wrzaski, twoje wrzaski to sprawiły: ostrzygi są puste, kokosy są jak wytarta tapicerka fotela, borykam się z tobą, walczymy na rogi, ocieramy się rogami. Twoje rogi, niewidzialne jak aureole na głowach papieży, wczepiły się w moje, długie i świadczące o ciężkich doświadczeniach, jak liczba słoii w drzewie stanowi o starości.

Co ty myślisz, że ja bym nie wołała całymi dniami przewracać się z boku na bok, żeby nie być posądzona o krzywą opaleniznę?

Wymieszaliście już swoje współczynniki, podzieliłaś się z nim swoim opłatkiem dziewczęcym, stanowicie zygotę wzajemnych czułości – cieszę się, że mogę umierać spokojnie i wszystkie twoje troski będą powoli na niego scedowane, że twoje kłopoty zaleją go jak gęsty cement z betoniarki. Trzeba przyznać, że byłaś kłopotliwa jak mało kto, w twój byt ontologicznie wpisano przeszkody, wychowanie ciebie było pasmem biegów przez płotki. Jeśli sobie poradziłam, mea culpa, lecz życie ma sens tylko wtedy, gdy pazur trudności orze je i hartuje, a my kształtujemy nasze delikatności, tylko kiedy zżera nas poczucie, że zrobiliśmy coś inaczej niż należało. Życie naprawdę musiało mnie kochać. Patrz, jakie zbiory pocztówek przywiozłam z dalekich wysp, patrz, ilu ich było, i z każdym poważnie, z każdym na sto dwa, ale ja już wiem, znam doskonale strukturę przyptywów i odpływów. Kto daje i odbiera, ten się wcale nie poniewiera w piekle. On się nauczył, on sobie wstukał w łeb, że świat jest zbudowany z nocy i dnia, z upałów i nawałnic i że tylko głupi uważa dary losu za dożywotnie. Jestem zahartowana. Z jakim spokojem przychodzą do mnie sąsiedzi, jak spokojnie mówią mi, że mój kolejny leży w rowie i nie chce mnie już widzieć. Pochowałam ich tyłu, a moja twarz pogrążona jest w wiecznym uśmiechu. Za tyłu muszę się modlić, że moja modlitwa nie mieści się w ramach dnia, tak że przenoszę się z nią w godziny nocne, które wolniej płyną, moja mimika nie uległa terrorowi skrzywień, a ty, czy modlisz się wystarczająco? Czy pościsz? Czy bierzesz na siebie odpowiedzialność za inne dusze?

Gdzie ty znowu wychodzisz, przecież to ja miałam wyjść i już nie wracać, miałam jechać tam, gdzie postanowiłam jechać, przepychasz się, jeszcze mnie ubiegiesz, zajmiesz moje miejsce w samolocie, będziesz się szarogęsić i bać chmur, a ja rezerwuję miejsce przy oknie, tuż przy dziobie, tuż przy kabinie z tymi wszystkimi przyciskami i światełkami, które migają jak choinkowe lampki, czuję wtedy, czy pilotowi bardzo wali serce, czy wszystko w porządku, mam wtedy łączność z niebem i jestem pohańbiona nieważkością – zero obowiązków, zero szukania, zero podtrzymywania na duchu – jedyny minus to lęk przed twoim nagłym wtargnięciem na pokład i wyrzucaniem szmalu.

Moja droga, słodka Konstancjo, przepraszam cię za wszystko. Spadajmy razem dla uczczenia naszej rocznicy, to już rok, jak postanowiłyśmy ewakuację. Podtrzymując się ramionami, przejdźmy w jako takiej komitywie chociaż kilka metrów dalej, do jakiegoś zaułka, w którym spokojnie odśpiewamy kolędy. Same – bez nikogo, kto by nas targał za włosy i znieważał. Pójdź teraz, weź najpotrzebniejsze rzeczy – nie zapomnij spisać telefonów. Nie budź nikogo, kto tu jest. Rób to ostrożnie, jakbyś szła po wodę. Omijaj go, leży nieprzytomny w jednym z przejść, lecz każde przejście jest naznaczone jego ciałem, jego ciało istnieje tu silniej niż materialny ogrom ścian i mebli, jego ciało jest podwójne, jest spuchnięte, jest wyzute z duszy, którą odrzuca każdego rana. Omijaj go z dystynkcją, z jaką przechodzisz w teatrze między rzędami, byle nie potrącić, byle nie naruszyć, byle się nie zetknąć. Nie zwracaj uwagi na jego jęki, na syrenie nawoływanie, idź jak po cienkiej, ale precyzyjnie naniesionej linii i wracaj tu zaraz z jakimś zapasem wody i odzieńnia, z karpim poderżniętym na świąteczne napychanie sobie brzuchów i przelyków, ze świeczką pokoju. Zostawimy go na chwilę, na jeden wieczór, na czas naszego odtajania – (Dlaczego zawsze w łazience? Dlaczego w czasie, gdy woda leci ciurkiem?) – i wrócimy po tej samej linii, jaka nie ma nagłych zagieć, jakiej jedynym zakłóceniem może być lekki skręt, który wkrótce okazuje się spiralą po linii, która wyznacza nasze spacery niczym rezonans po donośnych dźwiękach.

Kiedy to zrobisz, przerwiesz waszą więź, śledzoną do tej pory przez szereg mikroskopijnych lilipucich kamer i czujników. Zestarzejesz się przedwcześnie, a twoje kolce będą żalostną wypustką na pomarszczonej łodydze. Nie łudź się, że jedynie on jest prawdziwym właścicielem twoich słusznych decyzji. Ten mężczyzna w mglistym i zatechłym korytarzu oferuje ci tylko zielonkawy nalot i przetapianie sztućców na aluminium w przyulicznym barze. Będzie milczeć jak grób, w który powoli się przekształca. Tylko twój dotyk, ostre i bezwzględne szarpanie, jakbyście byli parą zbirów wyklócających się o swoją kolej w podziemnym przejściu, może przywrócić go na chwilę temu mieszkaniu. I poczucie, że ty, mój admirał i pogromca moich złych humorów, knujesz coś, taisy, przychodzisz z moimi rysami i teczką agenta.

Podziel się na pół. Wyżłobiłam w tobie rowek, który pomoże ci przełamać się jak czekolada, tak że zostaną dwa konkretne kształty, obok mojego ciała unosi się miernik naszego kontaktu – teraz nie wróżę mu najlepiej, stało się coś złego. Moja miła Konstancjo, zastanów się dobrze, zanim staniesz się jak inne żółtodzioby w tym mieście i zaprzępać sobie życie.

Nigdy nie leż w przejściu – to przynosi pecha domowi. Nie żądaj interwencji. Nie każ zbierać lawin do małych naczyń. Przyniosłaś ciuchy, a nie wodę. Te ubrania z chwilą gdy je tu wieszalam, przestawały wieścić dobre nowiny. W tym domu pomarańcze mają pestki, choćby w sklepie ich miąższ był nieskazitelny i poddający się z sukcesem każdemu prześwietleniu. W tym domu telewizor gada o powodziach, z chwilą gdy królowa powiła swojego następcę.

Pokazywała go, jeszcze pomarszczonego i oślizgłego od śluzu, w oknie swojej wieży. Mówię ci, Konstancjo, moja nieporadność co do rzeczy codziennych ma swój początek w tej szafie ze zgnilizną. Nie, one są zgniłe w niewidzialny sposób, one się kamuflują ze swoją zgnilizną, żeby narobić mi więcej kłopotu, żeby wszyscy brali mnie za wariatkę.

Jesteś równie ciężka jak twoja matka, współczuję panu, wasz związek nie ma perspektyw, ale ona lubi takie eksperymenty skazane na niepowodzenie. Nic dziwnego, wszyscy w tej rodzinie jesteśmy eksperymentem skazanym na niepowodzenie, chociaż ja zawsze miałam dobre intencje. Byłam niewinna jak jagnię. Nie wiedziałam, że czeka mnie powolna rzeź. Za każdym rogiem podniesiona ręka z nożem, na każdym kroku piekło. Bądźmy jednak wyrozumiali dla siebie, jest święto i gwiazda prowadzi nas do pojednania, a w naszym przypadku – do stulenia pysków w pączki kwiatów, które pod wpływem zimna i ciemności zamykają swoje kielichy.

Otrzymałam pewien list, wydaje się, że ważny list, że należałoby z otwartym sercem na niego odpowiedzieć. No, ale nic nie sugeruję, w tę gwiazdzistą, świętą noc decyzje trzeba podejmować samodzielnie.

Nie trzeba było się tego tykać, po co wywoływać nieszczęścia, po co z byle powodu łądować się w emocjonalne skoki bungee, zupełnie jak twoja matka, jesteśmy identyczne, tak samo kobiece, takie same idiotki. Czy umiałabyś teraz powiedzieć, gdzie jest północ, skąd wieje północny wiatr od morza? Jestem ci potrzebna tylko po to, żeby ocenić, gdzie jest północ i gdzie się obecnie znajdujemy, poza tym nie zwracasz na mnie uwagi.

Ależ ona pana kocha i chce z panem być.

Chcę, żeby pan zobaczył, jacy jesteśmy rześcy i w doskonałej formie, że mamy krzepkość alpejskich chłopów, lecz jednocześnie czuwa nad nami cień wielkiej tragedii. Chcę zobaczyć mojego zięcia w kitlu lekarza, w przeddzień jego pierwszej w życiu operacji. Konstancjo, przynieś na stół te wszystkie smakołyki, za którymi przepada twój narzeczony.

ny, podgłośnij radio, żeby zagłuszyć jego jęki i pokrzykiwania. Jak na złość, odzyskuje wigor zawsze wtedy, kiedy są goście, zawsze wtedy zaczyna być rozmowny, kipi wesołością, chce się bratać. Śpi nago, żeby nie spotkała go żadna krzywda. Nikt nie ośmieli się skrzywdzić kogoś bez odzienia. Nawet Bóg, wypędzając z raju Adama i Ewę, dał im na drogę skórzane okrycie. Jemu się wydaje, że nagi zwiększa swoje szanse na powrót do raju, na zwinięcie się w kłębek. A wy, kiedy planujecie dziecko? Kiedy te mury rozsadzi wreszcie ożywczy i niespodziewany wrzask, tak że zasłonimy uszy, a nasze serca owiniemy niewidzialną pępownią? Kiedy wreszcie przyjdzie czas pieśczoł? Mówiąc szczerze, to już późno na dziecko, najlepszy czas już przeszedł, minął i nie wróci. Cóż z tego, że medycyna idzie naprzód, skoro twój czas się cofa, próbujcie, jeśli taka jest wasza wola, jeśli wasze organizmy dyktują taki scenariusz. Jedno jest pewne, ja nie będę mamką na posyłki, na swoim koncie mam wystarczającą liczbę pieluch wieszanych na drutach wertepowego podwórka, mój żołądek jest jak wnętrze odkurzacza, tyle razy oblizalam twój gumowy smoczek, poza tym drażni mnie czyjś brak odpowiedzialności. Kto głodził psa? Kto nie otwierał balkonowych drzwi przy słonecznej pogodzie, a otwierał je na oścież, kiedy zawiąło wypaczony parkiet? Ten pies i jego wyblakła sierść nie służy wam dobrą wróżbą. Po jego oczach widzę, jakimi będziecie rodzicami. Zresztą dziecię, którego dziad, ojciec jego matki, syn jego pradziada i teść jego ojca, przywita go zapewne pod jednym z mostów, już jest skazane na drzenie kolan. Zapnij się, masz goły brzuch, jeśli ono już tam jest, wyjdzie przemarznięte i rozchełstane jak jego matka. Niech mnie pan nie słucha, przy odrobinie dobrej woli da się z niej zrobić dobrą matkę. Jest czuła i cudownie gładzi po głowie.

Wyciągałaś rękę z adresem, a ten adres, tak obnażony z intymności, wykrojony z wizytówki jak kogucik z serwetki, wymęczony ciągłym stąd autobusem tu i tu albo z powrotem stamtąd tędy lub owędy. „Oto jestem, oto ja i mój adres, mój adres i ja zapraszamy cię, czy odwiedzisz mnie i mój adres? Czy wypijesz wino ze mną i z moim adresem?” I zwykle odchodzili, przedtem zwykle podnosili kołnierze. Ale echo ich goniło, a jeśli był wiatr, to i on nie dawał za wygraną, owiewał te szare, filcowe figury twoich niedoszłych amantów, tak że w ich nosach zbierały się zarazki gotowe do odkichnięcia. „17a przez 9, klatka szósta, za śmietnikiem, za kontenerami, za złomowiskiem, między żywopłotami, które przechodnie wyskubują, jakby to były brwi aktorki. Obok trawnika, na którym odbywają się festyny, od siódmej rzempolą, a psy sikają na wyplatane koszyki i karykatury rysowane pastelami. Na przestrzał i siódme piętro, ja i mój adres czekamy, czekamy, czekamy.”

Festyn trwał i rzempolili na akordeonie ten sam kawałek, jakby psy w pijanym widzie szczerzały rytmicznie swoje udomowienie. Owce na pastwiskach beczały, opętane tupaniem tańca shante.

Z na wpół niedojrzałego doczekania, zmieniałaś się w dojrzałe niedoczekanie i uczyłaś na festynie tańca shante. Płasałaś z jednym takim, co hodował rybki, i zaraz się zaprzyjaźniliście.

Musiałam smażyć  
więcej kotletów  
obierać więcej kartofli  
skrobać naręcza marchewek

węgiel znikał na moich oczach i przejście do piwnicy zrobiło się szerokie, tak że mogłam do niej wchodzić jak wielka pani, jak infantka z hiszpańskiego dworu. Wynosiłam słoje z piklami i bezcenne krabowe przeciery.

Wszystko się zmieniło. Wasze serca opustoszały. Jesteście puści jak bombonierki, kiedy po nie sięgamy z nadzieją.

Chronicie się.

Przedłużacie swoje istnienie.

Reanimujecie się.

Przestań stękać, przestań wrzeszczeć, wychodzi ci, mała, mokra, kosmata główka, nabiera w małe płucka tlen, żeby wrzeszczeć od rana do wieczora inwektywy, które przyniosła z podwórka. Owijasz ją w poplamiony obrus, usypiasz za pomocą kołysania, przemycasz pokarm za pomocą małych rurek, żresz wydrążone części jabłek.

Nazwij ją: Tarantena, to znaczy goły brzuch. Od urodzenia jest rozchelstana, od urodzenia z pępkiem na wierzchu, mała dzikuska. Ma żyły drożne jak bambusowe pałki, jej krew jest słona. Chwała Bogu, że nie skośna, że nie żółta, że nie wątła jak ziarenko ryżu. Nazwij ją Makarada, to znaczy Białolica, Białopoliczkowa, Mocnokoścista i Wąskowarga.

Puść taśmę, puść, jak szumią fale, a ty bawisz się na wydmach. Puść, jak się opalasz, puść, jak fale się podnoszą, puść, jak statki idą na dno, a w bagażowniach rdzewieją rowery. Puść, jak uchodźcy trzęsą się ze strachu i oglądają wraki pojazdów, przez okrągłe, podwodne okienka. A teraz przewiń, bo chcę usłyszeć, jak dziewięć miesięcy temu plemniki święciły tryumfy, jak powoli zaczęłaś tyć i trzeba było ci poszerzyć łóżko. A teraz włącz czerwony guzik i niech nagrywa się mały utwór na podnoszenie łyżek do ust i zadławione oddechy z korytarza.

No, proszę, przyszedł, zwlókł się, chce zagrać głowę domu, nie wiadomo, co ma pierwsze: aureolę czy kapelusz. Masz, złap ją, jest pusta i od kilku chwil nic nie nosi pod sercem, jest o połowę mniej warta niż przed pięcioma minutami, zdewaluowana, zbankrutowana, spieniężona, huśta tę małą, jakby tasowała karty, w lewo, w prawo, jakby pracowała w fabryce przy wyciągu. A ty, co myślisz, że jesteś taka ważna, taka wysokotemperaturowa, taka przykuwająca uwagę? Wykluło się, zgoda, jego skorupka była w tobie. Oto stary, wiekowy, zabytkowy kufer, uwity z tropikalnych witek i lian, identyczny, w jakim Mojżesz pływał po Nilu. Puść go z nurtem rzeki, prosto w morze, w ramiona marynarzy, do wygłodniałych matek, karmiących z butelki przydrożne sarny.

Na plaży, kiedy wypatrywałam takich jak ta, trawiastych łódeczek, przyszedł on i moja łódeczka się zaludniła, usłyszałam w sobie gwar i kwilenie pełne żalości, pełne wyrzutów, aż kipiące od rozbisurmanienia.

„Ej ty, kolego, ty od malibu i balowania do późna w noc, co by powiedziała twoja matka na twój widok, na widok twojej opuchniętej gęby przepojonej octem? Co by powiedział twój brat – ładnie mu się odwdzięczasz za to, że z miłości zawsze ci ustępował, odwoził cię do lekarza zawsze wtedy, gdy rozcinałeś sobie łeb. Przypomnij sobie księdza, który udzielał ci chrztu – zaklinam cię, złap mnie w tali, nie daj mi tak umierać. Ej ty, kolego, wiem, że w kartach nie masz sobie równych, a teraz mamy taką szansę, nie dość że możesz poczuć, kim jestem – uchwyt pod żebrami wszystko wyczuje, nic nie da się zakamuflować – to znalazłeś wieczną partnerkę do przyszłych żartów i psikusów, ale jeszcze chwila twojej bierności, twojego namyślenia, cedzenia tych uśmiechów – i jestem umarła, a ty jesteś mordercą. Pomyśl o naszych wspólnych dowcipach. Czy kiedy tu jechałeś, znałeś już swoją skłonność do grzechu, wiedziałeś o swojej bezwzględności? Teraz rozumiem, dlaczego się mówi o skrajnościach, w których możemy się sobie przyrzec. Nie ma już dla mnie tajemnic twoja dusza, jesteś zły i kropka. Jak możesz nie spuścić żadnej łzy, a może ty jesteś stuknięty? Kto to widział, żeby woda nie dawała życia, kto widział wodę groźną jak najgorętsze języki ognia. Przypilnuję, żeby dla ciebie rozpo-

czął się czas sprawiedliwości. Karą świata jest zabrać tęczowe drinki sprzed nosa. Nie wykrzywiał się, nikt cię tu nie widzi, a ja nie patrzę w twoją stronę.

Są kobiety, które budzą respekt, dlatego ja nie budzę twojego instynktu, co to za facet, w którym kobieta nie budzi instynktu? Może to ja, może to ja jestem kobietą, która nie wzbudza instynktu? Psy omijały mnie zawsze szerokim łukiem, koty mnie drapały, a na randkach gości światła – jednak nosiłam pod sercem mojego potomka, a to znaczy, że któregoś nie zawiódł instynkt.

Co ci tam błyska, co tak lśni, tam, niedaleko ciebie? Nawet moje maleństwo mruży oczy, czuję to, że je razi, czuję, że już przemaka i jest całe zawilgocone. Jesteś trupem, chamem albo cudzoziemcem.

Odtąd spotykaliśmy się z chwilą wzejścia horyzontu, a twój głos był coraz donośniej-szy. Aż pewnego razu horyzont zaprzestał swoich wędrówek i słońce zamarło, i księżyc znieruchomiał, a obłe kształty kamieni zastygły jak lancety ułożone na sztorc. Ugrzęźliśmy w jeziorze mojego mleka, przestępując z nogi na nogę, w oczekiwaniu na głowę rodziny. Dni przybywało, dni piętrzyły się w parzyste i nieparzyste słupki, jak posegregowane monety. Aż w końcu zabrano nas w głąb łądu i przekłuto nam wargi, a torsy pocięto w gęste łuski dla niepoznaki krokodyli i jaszczurek. I tak wzmocnione, uczyliśmy się, że to, co jest w obrębie ognia, jest domem. A tam, gdzie jest mrok, atakuje się od tyłu i dusi się od tyłu, i wali się w plecy. Więc byliśmy istotami pogranicza. Zakryj się, masz goły brzuch, ukąsi cię, może cię ukąsić, może się owinać, wdrapać, tak właśnie kusi skorpiony i mężczyzn goły brzuch.

Ta mała tak wrzeszczy, tak wrzeszczy, zupełnie jak ty, kiedy zobaczyłaś misjonarzy. Byli biali i przewiązani w pasie sznurami, mieli głowy ogolone na łyso i mówili dziwnymi dialektami. Przyplłynęli na motorówce, hałasującej na modłę skuterów wodnych, wyjęli maszynki do golenia, zaparzacze do kawy, rozbili namioty i puścili rock and rolla, zaczęłam wertować walizki, wyciągać buty i strząsać piasek z dżinsowych kurtek. Skorupy żółwi (od czasu do czasu skorupy żółwi służyły mi za bęben do wystukiwania rytmów i porozumiewania się ze światem) przestały mnie interesować, gdy oni przyjechali, żółwie wywróciły się na lewą stronę i ukryły w brewiarzowym skupieniu, nie chciałam już grać i posłałam cię do szkoły. Opierałaś się, zapierałaś ze wszystkich sił, dwunastu misjonarzy ciągnęło cię w jedwabnej chuście uklepującej pustynne burze, podczas gdy ty krzyczałaś coś o swoich zniewagach. Po paru dniach wiedziałaś już, że Elvis jest królem i że warto zjednywać sobie mężczyzn.

Znienacka przyszedł dzień zwany naszą powrotną drogą, będący naszym powrotem. Wyjęliśmy kości z przekłutych nosów i powoli naciągałyśmy rajstopy na opalone nogi. Przez cały ten czas czułam jego oddech na plecach i wiedziałam, że będzie nieproszony za nami jechał, wiedziałam, że chce patrzeć, jak ty rośniesz i jak ja się starzeję. Tak długo kapał się w słonej wodzie, że jego młodość stała się zakonserwowana i nienaruszalna. Mogłam jedynie obserwować, z jakim trudem oddycha i jak ciężko przychodzi mu przebudzenie.

Pływałyśmy w swoich kajutach, okryte kocami w błękitne pasy, zaczynając dzień od czekoladowego kremu, podczas gdy on przepuszczał powietrze między palcami i wyobrażał sobie, że bawi się piaskiem. Nasz wyspiarski epizod pozbawił nas ojczyzny, raz na zawsze uczynił z nas ofiary kataklizmu.

Po drodze, na brzegach, stały dzieci z białymi kartkami na piersiach, nawołujące swoje matki do posłuszeństwa, na innych brzegach matki bawiły się ze swymi psami w niewidzialne gry.



Jak dobrze, że już zasnęło, jak wspaniale, że choć na moment popatrzymy na płomień i pocujemy naszą wieczność, nasze powołanie do nieskończoności.

Przeżegnajmy się, pomódlmy się, zmówmy nowennę, za nasz rodzinny przerwany krąg, za nasze rysunkowe, nieśmiałe teczki, za gwoździe czekające na studia z natury. Wara od naszych artystycznych prób. Nasze wychowanie pozostaje kwestią przypadku i jest czymś w rodzaju happeningu.

Wbrew pozorom jesteśmy przemyślani, jesteśmy zaplanowani, jesteśmy kochani. Nawet ta mała, niemająca jeszcze własnego okrycia i używająca cudzych chustek, knuje niewinną, piaskownicową rewoltę. Wierzchołki naszej rodzinnej figury umacniają się tu wokół świeczki.

Wstał, zwał się, przyszedł.

„Dzień dobry, to my, czekałyśmy, niezależnie od mód, jedną, dwie, trzy dekady, raz w mini, raz do kostek, raz szpileczki, raz koturny, teraz akurat zima, więc wyszywane, etniczne kozuchy i wełniane szale, znakomicie, mała już chodzi, stawia pierwsze kroki, dobrze, że jesteś, siadaj, weź talerz i nałóż sobie, ile wlezie, żebyś się najadł do syta i wyszedł z tego osłabienia, dostawmy krzesło i cieszymy się, że jesteśmy w komplecie, trzeszczącym w szwach, sami nie wiemy, czy to dyskomfort, czy spełnienie.”

Oto stary, poźółkły list, należało na niego odpowiedzieć, ale nie było wtedy poczty, a atrament wydzielano na klasówki i maturalne powtórzenia.

To list, który dotyczy jednego członka naszej rodziny. Tym kimś jest jego miłość życia, podobno było im bardzo dobrze razem, podobno mieli dzieci, a ich szczęście harcowało między matami i przegrodami z korka. Więc nasza figura, zjednoczona po latach, raczkującą, wnuczkową dziewczynką, ma nowych przybyszów i nowe, rozsadzające od wewnątrz, dynamitową bezwzględnością, gęby do wykarmienia. Kiedy zobaczył jej pismo, sflaczało od starości i drżącej ręki, aż się poderwał ze stołka, o, już chce wyjść, już zawiązuje szalik, już robi się skośny, widelce wymienia na pałeczki, a talerz na gorący półmisek. Potyka się o małą, szarpiącą za kark psa, tarמושzącą i rzucającą kulki kotu, rozkręcającą karuzelę dla chomików, nie wiadomo skąd wytrzasnął przepaskę z paproci i kij z zawiniętym pióropuszcowym czubkiem, jak głupio wygląda na nim szalik, jaki stał się egzotyczny, orientalny, skierowany w inną niż my stronę świata. Nim zdąży za nim krzyknąć, żeby się zapiął, że ma goły brzuch i pochodzi z innej cywilizacji, wybiega, zostawia nas, znika, opuszczając korytarz i to swoje bezustanne dyszenie. Więc mnie pozostaje rozstawiać pocztówki lub wykupić bilet do jakiegoś odległego przylądka i sama już nie wiem, co mam wybrać. Chwała Bogu, że ty w tym całym zamęcie zdołałaś powić i jesteś zajęta rozbijaniem słów na sylaby i liczb na cyfry. Dobra, wychodzę na balkon i wołam za nim w języku suahili, aż staruszki wyrzucające do kubłów słoiki zamieniają się w słuch i rozglądają dookoła. Mam już swoje lata, odchowałam ją, skrecałam się z tęsknoty za naszym miejscem na kamieniu, o który bije woda, za miejscem, gdzie nie dotarły pontony i kostiumy kąpielowe.

Dopiero teraz wszystko mogę. Nie ma żadnej istoty, za którą musiałabym płacić w razie rozbicia szyby, niezapięte brzuchy są gołe na swoją odpowiedzialność.

Wyjmuję małe pudełko, które stara Moa zostawiła mi przed śmiercią i wyskrobuje z dna rdzawy proszek. Maluję twarz w równe pręgi, pamiętam o malarstwie opartym na geście, nie zapominam o malarstwie gestu, przywiązuję wielką wagę do moich gestów – tak jak mnie uczyła stara Moa przed śmiercią.

Czuję chrobot i lekkie łaskotanie drzazg, z których składa się moja materia. Moja czaszka, wysklepiona jak gliniana czarka na lekarstwa, zaczyna matowieć i się rozrastać,

jak kiełkujący kartofel. Moja postać, widoczna z oddali, przesywana lamentami płaczek, opatrywana znakami krzyża, jak cięciami samurajskiego miecza. Nie mam pojęcia, skąd ten kostium w zygzaki i połamane pale, i rozmokłe, gnijące kosze, skąd grubo tkane, palmiaste ręczniki zakopane do połowy w ziemię. A nad wszystkim wiatr, złowroga cisza i matki z uszami przy ziemi i ojcowie z rozpostartymi ramionami, wciąż to samo, tak samo jak przed laty, kiedy i my, wyrwane ze swoich korzeni zapładniałyśmy się na nowo, szczęśliwe, że istniejemy. Idę bosą, grzęznąc w śliskiej, bananowej miazdze. Z błota wystają tysiące ciał, widzę je jeszcze, kiedy kotara wieczoru rozpościera się złowrogo. A rano, kiedy moje nogi są spuchnięte od zimna i oślizgłe od mułu, w którym grzęzną godziną za godziną, ten cholerny ranek odsłania rzędy trumien. Magazynowy, trumienny skład w oparach wilgoci i przy twojej nieobecności. Nasz kamień o połowę mniejszy niż przed laty, niejeden rekin połamała na nim zęby. I widzę go, małego i skulonego, jak topniejący pod wpływem wrzątku kawałek lodu, pochylonego nad parą skośnookich zwłok. „Hung h jut trem” – wołam, a on wolno się odwraca. „Mash” – mówi i padamy sobie w ramiona na naszym kamieniu, maleńkim teraz jak cypelek, na którym możemy się zmieścić tylko my i maleńki stoliczek.



Antonina Grzegorzewska, ur. 1977 we Wrocławiu. Absolwentka Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP (2002). Dyplom *Hommage à Koltès*, zrealizowany w technikach mieszanych (obrazy ceramiczne, polichromie na drewnie, rzeźba), obroniła z wyróżnieniem. Jej pisemna praca dyplomowa *Monolog złodzieja*

*uciekającego z Luwru z obrazem* miała charakter literacki. Specjalizuje się w ceramice. W 1999 roku wykonała polichromie na drewnie (duże formaty) do dekoracji *Hamleta* w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego w Teatrze Rozmaitości w Warszawie. Uzyskała wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na nową wizję artystyczną ornatu paschalnego (Poznań, 2004). Współpracuje jako projektantka i wykonawca z Instytutem Szkła i Ceramiki w Warszawie. W roku 2005 zadebiutowała jako autorka dramatyczna. Jej monolog *On* został wystawiony przez Teatr Narodowy w Warszawie w reżyserii jej ojca, Jerzego Grzegorzewskiego. Obecnie pracuje nad dramatem *Migrena*.